Cena numeru pojedyńczego 20 gr.

LOTNIK

ORGAN • ZWIĄZKU • LOTNIKÓW • POLSKICH.

Pismo dla wszystkich, poświęcone sprawom lotnictwa cywilnego i wojskowego

Przedpłata:
kwartalnie . . . . 1,25 zł
z przesyłką poczt. w kraju . . 1,50 zł
zagranicą . . . . 1,80 zł
Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca

Wydawca: Związek Lotników Polskich.
Redaktor: Pilot B. Ostrowski.
Adres Redakcji i Administracji: Poznań, Sieroca 2.
Telefon 3675 Adres telegr.: Lotnik.
Przedruk artykułów i wiadomości dozwolony tylko za wskazaniem źródła.

Cena ogłoszeń:

1 strona	150 zł	1/16 strony	25 zł
1/2 strony	75 zł	w tekście	
1/3 strony	60 zł	i na okładce	
1/4 strony	40 zł	50% drożej.	
1/8 strony	37 zł		

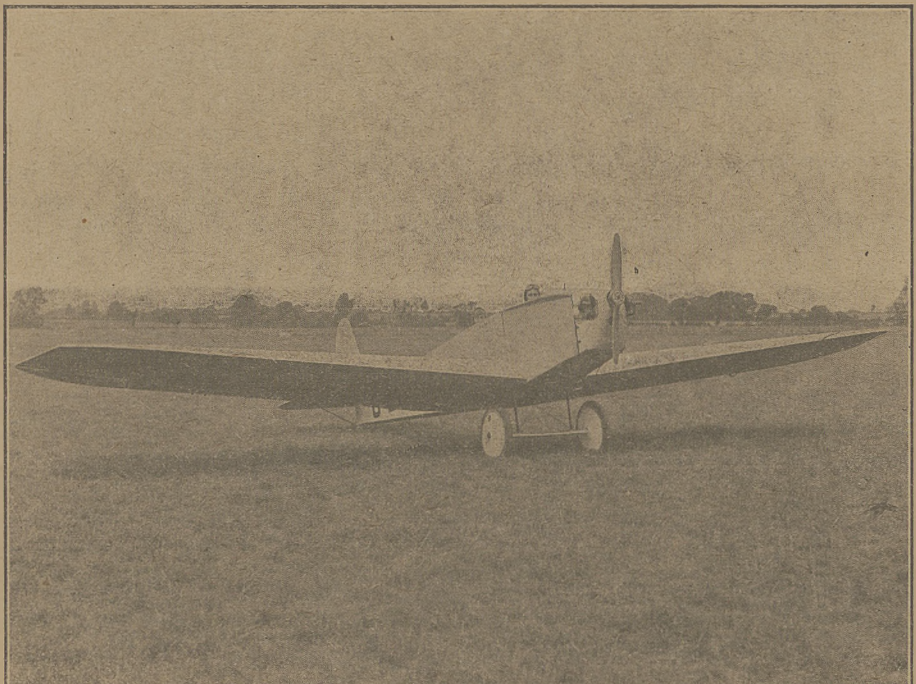
Rachunek czekowy: w Polskim Banku Handlowym i oddziałach oraz w P. K. O. Nr. 205183

Komitet redakcyjny: Inż. pilot M. Bohatyreff, Dr. pilot Z. Dalski, Red. Z. Marynowski, Inż. Gustaw Mokrzycki, Inż. Piotr Tułacz, por.-pilot Wawrzyniak Czesław Prezes Z. L. P., Inż. W. Zalewski.

Nr. 15 | POZNAŃ, dnia 20. listopada 1924. | Rok I.

OD REDAKCJI

Numer niniejszy zawiera początek zapowiedzianej powieści lotniczej p. Z. Marynowskiego: „Ikar zwycięzca“.



Płatowiec sportowy „BRISTOL“ jeden z zwycięzców konkursu w Lympne w Anglji. Silnik 14. KM. Płatowiec ten osiąga wysokość 1500 mtr. w 14 minutach i posiada szybkość 135 km na godzinę. Jak to widać z fotografji posiada zwyczajny silnik motocyklowy.

Główne podstawy rozwoju lotnictwa polskiego.

VI.

Powracając do zagadnień technicznych lotnictwa naszego pozwolimy sobie poruszyć sprawę niezmiernie ważną, sprawę decydującą o dalszej *samowystarczalności* i *samodzielności* naszego tak młodego i tak słabego przemysłu lotniczego.

Mówimy o surowcach i przemyśle pomocniczym. Mało kto z szerokich warstw społeczeństwa zdaje sobie sprawę z tego na jakie straszne trudności narażony jest wytwórca płatowca pod względem zdobycia niezbędnych materjałów surowych w kraju, i to wszystkich w pełnem tego słowa znaczeniu. Jak wiadomo wszystkie przyjęte u nas typy aparatów są przeważnie konstrukcji drewnianej i jak to nie paradoksalne, *niezbędne drzewo dostajemy z wielkim trudem* i w ilości nie wystarczającej. W kraju drzewa. W kraju skąd zaopatrują swoje warsztaty lotnicze Niemcy, Anglja i o czem marzą wytwórnie Francji. Tu właśnie stoimy przed tragicznym faktem, że odnośne czynniki rządowe, popierając eksport najwyższych gatunków drzewa, nie uwzględniły potrzeb własnych wytwórni lotniczych i nie poddały pewnym zastrzeżeniom eksportu drzewa lotniczego (sosna, jesion, lipa), w następstwie — wykonanie nawet tak małej ilości jak przypuśćmy 50 płatowców — wymaga specjalnych ekspedycji po całej Polsce w poszukiwaniu niezbędnego materjału. Tyle o drzewie. Teraz — płótno. Lniane płótno lekkie i mocne. Zdawało by się, że mając Łódź, Żyrardów, Pabianice i t. p. moglibyśmy liczyć na pomoc ze strony tych ośrodków przemysłu włókienniczego, w dźwignięciu przemysłu lotniczego lecz sprowadzamy je z Francji. Fakt bardzo smutny, tem bardziej, że dla urzeczywistnienia normalnego programu wytwórczości i konserwacji potrzebujemy za ca. 2.000.000 zł. płótna (dla trzech wytwórni).

Tak samo dzieje się w dziedzinie metalurgicznej szczególnie o ile chodzi o stal i aluminium. Wykluczając na razie aluminium jako produkt nie wytwarzany w kraju, zatrzymamy się nieco uważniej nad sprawą zaopatrzenia w stal.

Przeważnie używany w lotnictwie sortyment składa się ze stali węglistych, średnio twardych, bardzo ciągliwych, stali uszlachetnionych, i szlachetnych (wanadowa, niklowa, chromo-niklowa i t. p.)

Stale te w sztabach kutych, lub walcowanych (blacha), albo też ciągnionych (drut) muszą ściśle odpowiadać wszystkim wymaganiom ustalonym normami i dawać pełną gwarancję jednolitości struktury, stale powyższe wytwarzają Huty Górnośląskie. Niestety przemysł lotniczy ma słabe korzyści z tego. Primo — ustawiczne braki niezbędnych gatunków na składzie, secundo — niestałe terminy wykonania zamówień i terto — *cena* trzykrotnie przewyższająca koszta stali francuskich lub angielskich wraz z transportem.

To samo z miedzią, cellonem, linkami stalowemi, akcesorjami, i t. p.

Przemysł pomocniczy — w zarodku i mamy tu szczere uznanie dla tych pionierów, którzy nie patrząc na większe nakłady pieniężne wsparli produkcję śrubek, gwoździków, i t. p. drobiazgów. Szczególnie podkreślamy wprost nadzwyczajne rezultaty osiągnięte przez fabrykę świec motorowych „Iskropol“ w Poznaniu. Miałem możność osobiście wypróbować świece tej firmy równolegle z zagranicznemi. Wyniki ostateczne wypadły na korzyść naszego „Iskropolu“. Rzecz znamienna i charakterystyczna, wskazująca zupełnie wyraźnie na to, że nie brak wiedzy fachowej, nie brak urządzeń i instalacji technicznej, nie brak kapitału, stoi na przeszkodzie stworzenia wielkiego przemysłu lotniczego pomocniczego, a brak dobrej woli, szczerej chęci i organizacji. To musi być zwyciężone. Bez wytwórni surowców pół-fabrykatów i akcesorji nie możemy rozwinąć szeroko wytwórczości płatowców. *A musimy.* Drogę wyjścia znajdujemy we wspólnem porozumieniu się, nas lotników-wytwórców z przedstawicielami odpowiednich gałęzi przemysłu, wspólnie z czynnikami rządowemi.

Związek Lotników Polskich ma zamiar w krótkim czasie zwołać zjazd wyżej wymienionych przedstawicieli w celu szczegółowego omówienia sprawy i wzajemnego porozumienia się. Bo tylko brakiem bezpośredniego kontaktu objaśniamy sobie słabą pomoc przemysłu krajowego rodzimemu lotnictwu.

Inż. pilot, *M. Bahatyreff.*

——o——

Międzynarodowe konkursy lotnicze w Dayton (Ohio).

2, 3 i 4 października odbyły się konkursy lotnicze w Dayton będące zarazem oficjalną próbą wartości płatowców dla władz wojskowych. W konkursie tym zastosowują amerykanie obliczenie zdolności płatowca podług punktów, uprzystępniając w ten sposób branie udziału wszelkim typom nawet wieloosobowym. Pierwszą nagrodę w rozrywkach przedkonkursowych wziął płatowiec Curtiss C. 6. z silnikiem tej samej fabryki 160. K. M.

W pierwszym dniu właściwego konkursu dla płatowców o silnikach słabych posiadających przestrzeń, w której porusza się tłok do 510 cali, wziął nagrodę pilot Walter Lees na płatowcu Hartsell F. C. — 1 (silnik Curtiss Ox 5), osiągając szybkość 140 km. na godz. Następny konkurs płatowców wielosiedzeniowych komunikacyjnych wygrał pilot Jones na płatowcu Curtis C. 6, osiągając szybkość 190 km. na godz. Dla rozerwania publiczności przyglądającej się konkursowi odbyły się następnie pokazy lotnicze, na których urządzono walkę dwuch eskadr, oraz por. pilot W. H. Brookley demonstrował „pisanie po niebie“ za pomocą dymu. Pierwszy dzień zawodów zakończył się konkursem wojskowym płatowców wywiadowczych, w którym pierwszą nagrodę uzyskał por. pilot D. G. Duke osiągając szybkość

225 km. na godz., poza konkursowym lotem por. J. A. Macready, który ustanowił nowy rekord wysokości płatowców bombardowych wznosząc się z obciążeniem 1800 kg. na wysokość 17.000 stóp (około 5500 mtr.) a na zakończenie wylądował świeżo przybyły z Detroit pierwszy zbudowany u Forda metalowy płatowiec komunikacyjny z kabiną pełną pasażerów.

W drugim dniu konkursu odbyły się loty bezsilnikowe, w których uzyskał najlepszy czas Robert Jaros utrzymując się 10 min. i 42 sek. w powietrzu. Następnie odbyły się konkursy samolotów komunikacyjnych, które, nadzwyczajnych wyników nie przyniosły. Dzień zakończył lot płatowca typu Wright 1910 roku, który przeleciał wzdłuż całego pola ponad trybunami zapełnionymi publicznością wznoszącą frenetyczne okrzyki na cześć znajdującego się na konkursie Orville Wright'a ojca amerykańskiego lotnictwa. Jeszcze jedna ciekawa produkcja nastąpiła przed zapadnięciem zmroku. Z oddali przyleciał sterowiec T. C. 5. mający przywiązany u dołu mały pościgowy płatowiec, który na wysokości 500 mtr. odwiązano, a pilot w nim znajdujący się wylądował bez używania motoru na środku lotniska.

W trzecim dniu konkursu odbyły się loty szybowców z silnikiem pomocniczym, w których zwyciężył pilot Johnson, a popołudniu najciekawsza część konkursu, mianowicie wyścigi płatowców pościgowych. Do wyścigów tych stanęły cztery płatowce i to dwa Curtiss R. 6. z pilotami kapt. Burt E. Skeel i por. H. W. Brookley, płatowiec Verville-Sperry (silnik 520 K. M. Curtiss D. 12. A.) z porucznikiem H. H. Mills i nowy Curtiss P. W. 8 A. (z silnikiem 460 K. M. Curtiss D. 12.) i pilotem por. Rex K. Stoner. Cztery płatowce ruszyły razem nabierając odrazu możliwą szybkość. W chwili gdy płatowiec por. Skeel'a zbliżał się do linji startu, nagle z szaloną szybkością zwrócił się ku ziemi druzgocąc się w drobne kawałki. Stało się to tak szybko, że trudno było określić co się stało, jedynie pilot Brookley, który leciał tuż obok niego twierdził, że w chwili wypadku widział jakiś błysk. Jak „Lotnik" poprzedni doniósł ciało pilota odkopywano z ziemi, do której zostało potworną siłą wbite na głębokość trzech metrów. Ciekawem jest, że śmigło złamało się jeszcze przed uderzeniem o ziemię, wyrwało całe górne skrzydło i motor, który wraz z ułamkami skrzydła upadł przeszło 100 mtr. od miejsca katastrofy. Wypadek ten odbił się na przebiegu całego wyścigu, tak że pozostali piloci nadzwyczajnych wyników nie osiągnęli. Pierwszą nagrodę wziął Mills osiągając szybkość około 340 km. na godz. Konkurs zakończyło bombardowanie sztucznego miasta przez eskadrę płatowców.

B. O.

Z historji rozwoju sterowców w Niemczech.

Przelot sterowca „Los Angelos" — Z. R. III. zbudowanego w zakładach w Friedrichshafen dla Stanów Zjednoczonych A. P. wzbudził wielkie zainteresowanie wśród sfer fachowych. Nie tylko w pismach lotniczych, lecz i na łamach prasy całego świata podjęto żywą dyskusję w tej sprawie. Lot ten dokonany zosał w 80. godzinach jak o tem już poprzedni „Lotnik" doniósł.

Nawiązując do powyższego przelotu pozwolę sobie skreślić parę uwag o rozwoju sterowców w Niemczech. Dnia 2 lipca 1900 roku wykonał sterowiec hr. Zeppelina pierwszy lot nad jeziorem Bodeńskiem. W owym czasie pracował nad zagadnieniami lotu balonami sterowanemi szereg innych konstruktorów, a w szczególności Gross i von Parseval, których sterowce dokonały swych lotów próbnych w następnych latach. Obok sztywnego systemu Zeppelina, do którego dołączył się później system Schutte-Lanz'a rozwijał się w Niemczech sterowiec pół sztywnej konstrukcji Parseval'a. Budowę sterowców typu Gross'a zarzucono już przed wojną światową. Natomiast typ Parseval'a rozwijał się podczas wojny i balon P. L. 27. osiągnął długość 157 m. przy 31.150 m.³ pojemności gazu. Był on największym z grupy sterowców półsztywnych. Nośność jego wynosiła 56% całkowitego obciążenia, wobec czego przewyższał najlepsze sterowce grupy sztywnej, zbudowane w tym samym roku. Pożar warsztatów i brak surowców, spowodowane blokadą koalicji, a więc w pierwszym rzędzie brak surowca bumowego, spowodował zaprzestanie budowy tego typu.

Sterowce konstrukcji sztywnej osiagnęły pełen swój rozwój. Zakłady Zeppelina w Friedrichhafen zbudowały w czasie od 1900 do 1920 r. 121 statków napowietrznych. Pojemność ich podniosła się z 20.000 m.³ na przeszło 68.000 m.³, nośność z 2700 kg. w roku 1900 na 52.000 kg. w roku 1917. szybkość z 28 km. na godz. 120 km. na godz. i pułap do 7.000 m. wysokości. Sterowce służyły wyłącznie dla celów wojskowych. Bardzo ważnym czynnikiem, który decydował o ich zastosowaniu było większe bezpieczeństwo lotu oraz możność zabierania materjału pędnego na dłuższy okres czasu. 24 godzinne loty notowano podczas wojny jako przeciętne zdolności. Najdłuższy lot jednego z niemieckich Zeppelinów trwał 101 godz., a nadzwyczajnym wypadkiem był lot sterowca L. 59. w jesieni 1917 roku z Bułgarji do źródeł Nilu. Statek ten miał przewieźć amunicję, broń, środki lecznicze i pocztę oddziałom niemieckim walczącym w koloniach. Przebył on 7.000 km. w 96 godz. ponad terytorjum nieprzyjacielskiem. Nad Chartumem w Egipcie otrzymał sterowiec radjoelegraficzne zawezwanie do powrotu ze względu na krążące pogłoski o kapitulacji oddziałów niemieckich pod dowództwem gen. Lettow-Vorbeick'a.

W wojnie światowej używano Zeppelinów do bombardowania i dalekich wywiadów w głąb kraju nieprzyjacielskiego. W związku jednak z polepszeniem środków obronnych przeciw lotniczych stało się przeprowadzanie lotów bombardujących coraz trudniejszem i zakres działania musiano zmniejszyć do wywiadów nad morzem.

Dążąc do jaknajdalej idącej wydajności ulepszano kształt sterowca, usuwając części znajdujące się poza balonem i stawiające opór powietrzu, przechodząc coraz to bardziej do kształtu najmniejszego oporu, a więc do kształtu kropli wody. Każdy Zeppelin opuszczający warsztaty zdradzał zmiany: w kształcie balonu, umieszczeniu gondoli, zwiększeniu lub zmniejszeniu sterów.

Niesłychanie ciekawym jest przegląd statystyczny, który ze względów technicznych umieścimy w najbliższym czasie. Po zawieszeniu broni z 119 sterowców pozostało tylko 15. Statystyka okazuje nam przyczyny tej straty. Lwia część została zestrzelona, dużą ilość zniszczył huragan, pastwą pożaru padło parę sterowców, a nikłą część roze-

brano ze względu na ich przestarzałość. Z pozostałych po wojnie 15 Zeppelinów wydali Niemcy na podstawie Traktatu Wersalskiego 7 państwom koalicyjnym, 7 musieli zniszczyć a jeden rozebrać. Dwa Zeppeliny ostatniej konstrukcji „Bodensee" i „Nordstern" otrzymała Francja i Włochy. Jeden z nich Nordstern późniejszy „Dixmude" uległ swego czasu głośnej katastrofie w okolicy Sycylji, drugi zaś uszkodzony został przez Włochów przy locie próbnym, z powodu niedostatecznej znajomości obsługi.

Opis ostatnniego sterowca Z. R. III. podaliśmy w Nr. 12 i 13 „Lotnika."

Jak z powyższego widzimy trzeba by się bardzo zastanawiać czy kwestja sterowców jest rozwiązaną pomyślnie i czy budowa tych potworów jest bezwzględnie racjonalną. Dla dopełnienia obrazu przypomnę jeszcze, że przelot Z. R. III. nie był i nie jest rekordem lotniczym, boć kapt. Alcock przeleciał z Europy do Ameryki samolotem w 16-tu godz. zużywając na tę drogę około 50 razy mniej, jak Z. R. III., materjałów pędnych. Co prawda droga była trochę krótsza z powodu miejsca startu, a o wiele krótsza z powodu nałożenia drogi przez Z. R. III. dla wykorzystania odpowiednich prądów, recte wyminięcia niekorzystnych, których takie „cygaro" bardzo się boi, a płatowiec nie bardzo, jak nam to niejednokrotnie, piloci dowiedli. Wszystkie te czynniki oraz fakt, że za koszta budowy „cygara", które byle silniejszy wiatr zmasakruje o ziemię lub zapędzi tam gdzie owo „cygaro" ani chce ani powinno lecieć, możemy zbudować porządną porcję płatowców, które to samo zrobią i których żywot będzie w rezultacie dłuższym, zmusza mnie do stwierdzenia, że o ile ktoś ma w Europie zbędny kapitał, który chce przegrać w karty, to o wiele rozsądniej zrobi zamawiając w zakładach Zeppelina Z. R. IV. O Ameryce „Lotnik" sądzić musi inaczej, ale o tem w przyszłych numerach.

Pilot, *E. Hołodyński.*

——o——

✝



dnia 26. 10. 1924 roku zginęli śmiercią lotników podczas lotu ćwiczebnego w Biedrusku, członkowie Związku Lotników Polskich. —

Cześć ich pamięci!

Ś. p.
Por.-obserw. Wajda Jan



Ś. p.
Kapr.-pilot Żmuda Ignacy

KRONIKA.

AMERYKA.

„Los Angelos" (Z. R. III.) w służbie amerykańskiej.

Jak się dowiadujemy z N. Y., napełnianie „Los Angelos", gazem helium, jest na ukończeniu i przypuszczalnie w tych dniach nastąpi lot próbny. Sterowiec ten będzie użyty dla komunikacji handlowej między N. Y. Panamą i Hawaną. Przelot będzie trwał z N. Y. do Hawany 24 godz., i z Hawany do Panamy 20 godz.

Naokoło świata. Lot eskadry angielskiej naokoło został 6 września ukończony. Zwycięzcy piloci Lowell Smith i Erik Nelson wylądowali w Los-Angelos. Wylecieli oni z punktu tego 14. marca na zachód w towarzystwie jeszcze dwuch pilotów Martina i Wade, z których pierwszy musiał przerwać swój lot w Alasce, drugi w drodze do Islandii. Ciekawym jest porównanie tego wielkiego lotu z lotem francuskiego pilota Pelletier d'Oisy z Paryża do Tokjo. Lot amerykański wykazuje odległość 37.000 km. w ciągu 175 dni lotu czyli z przeciętną szybkością 211 km. dziennie. Lot Paryż Tokjo wykazuje odległość 20400 km. w ciągu 47. dni, a więc z przeciętną szybkością 434 km. dziennie. Nie mówiąc o tem, że lot amerykański wymagał bezwzględnie większej wytrwałości musimy jednak przyznać, biorąc pod uwagę odległość, a więc mniejwięcej Poznań, — Brześć Litewski codziennego przelotu, że lot francuski jest rekordem nie łatwym do pobicia.

CZECHO-SŁOWACJA.

Konkurs lotniczy w Czecho-Słowacji. Dnia 7. września odbył się w Pradze konkurs lotniczy, o nagrodę prezydenta Masaryka. Sukcesy osiągnięte mają dla lotnictwa czeskiego doniosłe znaczenie. Pierwszy warunek polegał na osiągnięciu jaknajwiększej szybkości na przestrzeni 200. klm. Zwyciężył w tym locie pilot Nowak na samolocie firmy „Aero" wyposażonym w silnik Walter 300. K. M. osiągając przeciętną szybkość 266 klm. godz., przelatując całą przestrzeń w przeciągu 45. min. 33. sek. W zawodach na płatowcach sportowych pierwsze miejsce przypadło w udziale pilotowi Lhota. Przeleciał on przestrzeń 200 km. w przeciągu 1. godz. 17. min. 21. sek. na jednopłatowcu typu „Avia" z silnikiem Walter 60 K. M. Wszystkie loty odbywały się wyłącznie na płatowcach pochodzenia czysto czeskiego, widać, że u naszych bliskich sąsiadów lotnictwo rozwija się w nieco innym tempie jak u nas.

FRANCJA.

Rekord wysokości. W zeszłym numerze „Lotnika" donosiliśmy o zdobyciu nowego rekordu wysokości przez Francuzów. Pilot Callizo, zatrudniony w fabryce samolotów Courdou-Leseure wykonał 10. z. m. na samolocie tejże firmy lot na wysokość. W ciągu 2 godz. i 20 minut osiągnął on wysokość 12.066 m. bijąc tem samem ostatni rekord światowy ustanowiony przez Sadi-Lecointe'a. Callize używając do swego lotu jednopłaowca Gourdou-Leseurre z silnikiem Hispane-Suiza 300 km. zaopatrzonym w turbo kompreser Rateau miał większe trudności do pokonania w przeciwstawieniu, do Sadi-Lecointe'a, który użył do zdobycia rekordu lekkiej maszyny Nieuport-Delage o wielkiej rozpiętości.

Pelletier d'Oisy przedmiotem uwielbień.

Od czasu powrotu z długiej i uciążliwej podróży samolotem Paryż-Tokio, której cały przebieg podawaliśmy w poprzednich numerach Lotnika, jest przyjmowany Pelletier d' Oisy i jego dzielny mechanik Basin we wszystkich miastach Francji z wielkim entuzjazmem. W Paryżu dnia 8. X. zorganizowano nawet w l'Opera-Comique przedstawienie galowe ku uczczeniu uczestników tego raidu, a czysty dochód przeznaczono na zasilenie funduszów lotniczego towarzystwa ubezpieczeniowego. Aero-Club poświęcił także miesięczny bankiet ku czci dzielnych lotników. Tak francuskie społeczeństwo umie ocenić zasługi oddane na polu tak ważnem jak lotnictwo, niewiadomo czy u nas nawet w jednej części znalazłoby się należyte zrozumienie.

JAPONJA.

Japoński Pelletier d' Oisy. Jeden z pilotów japońskich ma zamiar w roku przyszłym, idąc śladami Pelletier d'Oisy, przedsięwziąść lot Tokjo-Paryż. Maszyna użyta do tego celu ma być konstrukcji japońskiej.

NIEMCY.

Persko niemiecka linja lotnicza.

Towarzystwo Junkerswerke Dessau podpisało układ z przedstawicielem rządu perskiego, Prezesem Rady Ministrów Sardarsipah Riza Chanem, celem uruchomienia komunikacji lotniczej w Persji.

POLSKA

Dnia 23. VIII. b. r. zginął zaszczytną śmiercią lotnik chor. pil. Zubrzycki, którego ciało dopiero po siedmiu dniach mozolnych poszukiwań wydobyto z zatoki Gdańskiej. Żona zmarłego zajęła się pogrzebem, a związane z nim wydatki zmuszona była pozostawić nieuregulowane, z braku gotówki. W oczekiwaniu rozstrzygnięcia kwestji należności pośmiertnych zamieszkała, pozbawiona wszelkich środków do życia wdowa, u swoich rodziców w Warszawie. W międzyczasie jeden z puckich obywateli, któremu za wykonanie trumny należała się kwota 85 zł. zniecierpliwiony długiem oczekiwaniem wnosi skargę do sądu powiatowego, a ten opierając się na gołosłownem doniesieniu wspomnianego obywatela o rzekomym zamiarze cichej przeprowadzki pani Z. wyrokiem nakłada areszt na pozostawioną część rzeczy wartości przeszło 200 zł. długu i przypisanych do zwrotu wdowie kosztów procesowych w wycokości 15 zł. Rzeczy te z biedą udało się delegacji lotników morskich wykupić. Tak to się postępuje z rodzinami poległych lotników. Może w głębi kraju, *w Polsce* cieszą się te rodziny, niosące w ofierze Ojczyźnie najcenniejsze swe skarby pewnymi prerogatywami, tu jednakże na Kaszubach, rzeczy się wręcz odwrotnie przedstawiają.

Smutne, ale prawdziwe.

Z Tow. Żegl. Pow. w Polsce (Franco-Roumaine).

W ostatnim czasie zostały wprowadzone do wspomnianego towarzystwa wielkie płatowce „Coudron" (wspomnieliśmy o nich w numerze 12/13 Lotnika). Siła nośna tych płatowców wynosi 4500 kg. czyli 12 pasażerów na przestrzeń około 800 km. bez lądowania. Jeden z tych samolotów wylądował w tych dniach w Warszawie i po paru dniach pobytu udał się w dalszą drogę do Moskwy przez Wilno i Smoleńsk. Przypuszczalnie po udatnej próbie otworzoną zostanie na tej linji stała komunikacja.

Tragiczny wypadek. Dnia 16. b. m. zginął śmiercią lotnika St. Sierzant Holli Józef instruktor w Szkole w Bydgoszczy. Cześć jego pamięci.

Dnia 27. X. 24. r. o godz. 16. 40 min. podczas lotu strzelania w Biedrusku, zginęli śmiercią tragiczną por. obs. Wajda Jan i kapr. pilot Zmuda Ignacy. Faktycznej przyczyny wypadku niemożna ustalić, należy jednak przypuszczać, że samolot został w wirażu przeciągnięty, wskutek czego stracił szybkość i wpadł w korkociąg na wysokości 70 m. wysokość, z której mimo najlepszych umiejętności sterowania płatowcem niemożliwą jest rzeczą wyjść bez szwanku. Por. obs. Wajda Jan ur. w r. 1897 po wstąpieniu do wojsk polskich był dłuższy czas w Krakowie, następnie po ukończeniu szkoły oficerskiej powrócił do Krakowa i tam był od roku 1921 jako d-ca komp., w dalszym ciągu po ukończeniu Szkoły Obserwatorów w Toruniu przydzielony został do 4. p. l. gdzie przebywał do ostatniej chwili. Kapr. pilot Zmuda ur. w r. 1898 po ukończeniu Szkoły Pilotów w Poznaniu odkomenderowany do 2. p. l. w Krakowie, po pewnym czasie ze względów familijnych przenosi się do Poznania do 3. p. l. gdzie przebywał aż do ostatniej chwili.

Cześć ich pamięci!

Drugi polski konkurs szybowców.

Wiosną 25. roku urządza Związek, Lotników Polskich II. Polski Konkurs Szybowców połączony z konkursem szybowców z silnikiem pomocniczym.

Komisja w składzie pp. inż. pilota Bohatyreff'a, inż. Mokrzyckiego i kapt. pilota Jacha opracowuje warunki konkursu i regulamin, który w najbliższym czasie będzie opublikowany w „Lotniku".

Zgłoszenia uczestników i samolotów należy skierować do Komisji Technicznej Związku Lotników Polskich w Poznaniu, Sieroca 2, z podaniem schematycznych rysunków, opisu, miejsca stałego pobytu szybowca, oraz adresu pilota. Listę uczestników zamknie się 1. marca 1925. roku.

Wszelkie dalsze szczegóły konkursu oraz nagród będą w swoim zasie podane w „Lotniku".

Komisja Techniczna Z. L. P.

Sekcja Mechaników Lotniczych Z. L. P.

Z inicjatywy Związku Lotników Polskich powstała nowa organizacja lotnicza pod nazwą Sekcja Mechaników Lotniczych przy Z. L. P.

Członkami Sekcji mogą być mechanicy, którzy ukończyli Szkołę Mechaników Lotniczych względnie pracowali conajmniej dwa lata jako tacy w lotnictwie.

W skład Zarządu weszli: prezes p. Wawrzyniak, Prezes Z. L. P.; wiceprezes p. Effenberg; sekretarze pp. Waraczewski i Krzyżaniak, skarbnik p. Lehman. W skład Rady Nadzorczej: jako prezes Dr. pilot Dalski i pp. Ciesielski i Włodarczak.

Adres tymczasowy: Sekcja Mechaników Lotniczych przy Związku Lotników Polskich Poznań, Sieroca 2.

Ze Związku Lotników Polskich.

Dnia 11. października br. odbyło się na sali w Hotelu Monopol w Poznaniu informacyjne zebranie przy udziale 42. członków. Prezes Związku p. C. Wawrzyniak wygłosił sprawozdanie o rozwoju Związku i przedstawił projekt Cywilnej Szkoły Pilotów przy fabryce „Samolot". Następnie Dyr. inż. Tułacz złożył sprawozdanie Sp. Akc. „Samolot". Wszystkie powyższe sprawozdania przyjęli zebrani do wiadomości.

Członkowie, którzy dotychczas nie nadesłali arkuszy ewidencyjnych, jak również zaległych składek członkowskich proszeni są o jaknajszybsze załatwienie powyższych spraw.

Nadesłe odznaki Związku nabyć można w cenie po 2,50 zł. z doliczeniem 50 gr. tytułem przesyłki pocztowej.

Podziękowanie.

Zarząd Związku Lotników Polskich składa podziękowanie p. Dr. Nenckiemu, który w zrozumieniu wartości lotnictwa polskiego i popierania rozwoju jego przez społeczeństwo, zainicjował w Zachodnio Polskiem Zjednoczeniu Spirytusowem w Poznaniu uchwałę wykupienia samolotu szkolnego dla organizowanej przez Związek, pierwszej w Polsce Cywilnej Szkoły Pilotów. Na powyższy samolot, który został zamówiony w Sp. Akc. „Samolot", wpłacono już 8,772 złotych. Samolot będzie nosił miano inicjatora „Dr. Nencki".

Firmie Nowakowski i Synowie, która dostarczyła bezinteresownie szafę biurową, podług podanego rysunku, składa Zarząd serdeczne podziękowanie.

W dalszym ciągu wpłacili na fundusz organizacyjny Związku Lotników Polskich: Zarząd Kółka L. O. P. P. z Kobylina 700 złotych, p. J. Wachowiak ze Środy 25 zł., por. rez. Olenderczyk ze Środy 25 zł., p. Leworski z Poznania 70 zł., Cukrownia Żnin 300 zł., fa. Kłos z Poznania 10 zł., p. Mańkowska z Brodnicy 100 zł., p. Wnuk Antoni z Poniec 5 zł. Wszystkim szlachetnym ofiarodawcom składa serdeczne podziękowanie

Zarząd.

Informator Automobilowy. Opracowany przez członka naszego Komitetu Redakcyjnego inż. pilota Michała Bohatyreff'a i inżyniera R. Morsztyna informator automobilowy, jest pierwszym, nadzwyczaj pełnie i na wzór europejski opracowanym skorowidzem, wszystkich potrzebnych dla automobilisty, motocyklisty i lotnika wiadomości. Pomijając wartość informatora jako podręcznika dla automobilisty i motocyklisty, uważamy, że informator ten powinien się bezwzględnie znaleść na biurku każdego lotnika i mechanika lotniczego. Szczególnie rozdział drugi (Tablice pomocnicze), rozdział czwarty (Materjały pędne i smary), rozdział piąty (Materjały do budowy samochodów), szósty (Detale mechanizmów), siódmy (Elektryczność w samochodzie), są zbiorem wiadomości każdemu lotnikowi potrzebnych. Przystępna cena i wygodny format dopełniają dodatniego wrażenia całości.

Dla pilotów i mechaników posiada Administracja Lotnika pewną ilość egzemplarzy w cenie 5. złotych na sprzedaż.

ZDZISŁAW MARYNOWSKI.

IKAR ZWYCIĘZCA.

Powieść.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

1.

Marek źle się czuł w swem nowem, podług najświeższej mody skrojonem ubraniu. Dociągnął, jak mógł najdalej sprzążkę kamizelki, zapiął szczelnie kurtkę, lecz mimo to wydawało mu się, że lada chwila wszystko zeń opadnie. Było tak dziwnie luźne i tak obce to ubranie, że niemal z żalem spojrzał na zrzucony przed chwilą, mundur wojskowy. — W nim czuł się znacznie wygodniej.

Przed wyjściem raz jeszcze spojrzał w lustro. — Wydał się sobie zupełnie obcym.

— Odwykłem od naturalnej skóry — mruknął do siebie. — Trzeba się jednak z tem oswoić. A zresztą. — Machnął ręką. — Zajęła go teraz ponownie tylko jedna myśl. — Czy ona jest w Warszawie?

Przyjechał przed paru godzinami. Zaledwie zdążył wziąć kąpiel i sprawić sobie ubranie. Nie chciał się jej już pokazywać po wojskowemu. W głębi duszy bał się jednak — choć się do tego nie przyznawał — wrażenia jakie na niej wywrze ta metamorfoza.

— Kobiety kochają się w mundurach — myślał z goryczą. — Ale trudno, nie mogę dla tego jedynie spędzić w wojsku całego życia.

Na ulicy wskoczył do dorożki i kazał się wieźć na Mokotowską.

— Czy aby jest w Warszawie — dygotały mu niespokojnie nerwy. — A jeśli jest, jak go też przyjmie? Czy zimne, obojętne przywitanie, czy błysk radości w tych zagadkowych oczach, czy zdawkowa uprzejmość?.....

Przypomniał sobie z niesłychaną plastyką całą skalę jej powitań, uśmiechów, spojrzeń, uścisków ręki, od mrożących jak lód, aż do gorących, gwałtownych jak wulkan. Znał to wszystko tak dobrze, tak boleśnie i tak rozkosznie.

Spojrzał na zegarek. Była szósta.

— Jeżeli jest — myślał — powinna być w domu. — Zapewne ma gości. Wybiera się do teatru.

Szybko rzucił dorożkarzowi pieniądze i wbiegł w bramę. Po chwili stał już z bijącem sercem przed drzwiami.

Pocisnął guzik dzwonka i nasłuchiwał niespokojnie. — Ozwały się czyjeś stłumione przez dywan kroki. Drzwi się otworzyły.

W pierwszej chwili Marek nie mógł rozpoznać kto w nich stanął.

— Czy panienka... — rozpoczął, lecz urwał w pół zdania, w tej chwili bowiem usłyszał radosne „Aaa! Pan Marek!" i czyjaś biała ręka wysunęła się ku niemu żywym ruchem. — To ona sama mu otworzyła.

Wszedł do przedpokoju zupełnie oszołomiony wrażeniem tego niespodziewanego powitania. W głosie jej najwyraźniej dźwięczała radość.

Nie umiał przemówić. Ona sama tymczasem mówiła szybko.

— Kiedy pan przyjechał? Dziś? Naturalnie. Doskonale, że pan zaraz przyszedł. O! i już cywil. A jak się pan czuje w nowej skórze? Oczywiście źle. Ale się pan przyzwyczai. No, proszę do salonu. — Pociągnęła go za sobą.

W salonie panował półmrok, tak, że Marek wprzód usłyszał brzęk ostróg, nim dostrzegł czyjąś, opiętą w mundur sylwetkę, powstającą z fotela. —

Lili ruchem ręki wskazała nowego gościa.

— Panowie się zapewne znają. Nie? — Pan porucznik Zabielski, pan

Uścisnęli sobie dłonie sztywno, niechętnie.

Lili tymczasem przekręciła kontakt elektryczności. Ostre światło żyrandola uderzyło w przywykłe do mroku oczy. Zmierzyli się obaj wzrokiem, bezwiednie taksując wzajemnie. —

Porucznik był średniego wzrostu, szczupły, elegancko ubrany, świecący akselbantami i haftem kołnierza. Twarz miał maleńką, goloną, mały nosek męczył się pod ciężarem dużych szkieł, z poza których wyzierały małe, szare oczy.

Marek przy nim wyglądał bez mała na olbrzyma, mimo swego cywilnego ubrania.

— Wie pan, panie Marku, że panu jest dosonale „w cywilu" — przerwała Lili milczenie.

Skłonił się ceremonjalnie.

— Wogóle muszę panu powiedzieć, że mi się już mundury sprzykrzyły. Ogromnie oklepany temat dekoracyjny.

Teraz z koleji zgiął się w przesadnym ukłonie porucznik.

— Bardzo pani jest dla mnie dzisiaj łaskawa.

Zaprotestowała ruchem głowy.

— Bynajmniej nie miałam pana na myśli. Mówiłam ogólnie, a w panu jest chyba coś więcej poza mundurem — dodała kokieteryjnie.

— Spadł mi kamień z serca — przemówił wreszcie Marek. — Myślałem, że pani na mnie, jako na cywila, nie zechce nawet spojrzeć.

Mówił, niby żartem i wstyd mu było przyznać się przed sobą, ile jednak w tym żarcie było prawdy.

— Więc powtarzam panu, że w cywilu wygląda pan doskonale. — Jest pan dość duży by się nie bać marynarki — potwierdziła Lili.

Porucznik zagryzł usta. — Zrozumiał to jako przytyk do siebie.

Lili tymczasem wypytywała Marka.

— Niechże pan powie, co pan robił, kiedy przyjechał?...

— Przyjechałem dziś. Wczoraj otrzymałem papiery zwolnienia z wojska. — No, a co robiłem poprzednio, to nic ciekawego. Cóż mogłem robić? Trzymano nas dotąd na froncie, choć od trzech miesięcy wojna się skończyła. Ani sposób było się wyrwać.

— To pan aż do zawieszenia broni był na froncie? —

Marek potwierdził skinieniem głowy.

— Aż do ostatniej chwili A oto — wyciągnął ku niej lewą dłoń — ostatnia pamiątka: 18. października o godzinie 6-tej wieczorem, ostatni postrzał, niemal, że ostatnia kula, bo parę minut po szóstej zapanował już spokój.

Dotknęła zagojonej blizny lekkim, pieszczotliwym ruchem.

— Biedny Marek — głos jej zabrzmiał miękko, prawie serdecznie.

A jemu krew wszystka nagle uciekła do serca. Za te dwa słowa i tę cichą pieszczotę dłoni dałby sobie w tej chwili odjąć nawet całą rękę.

Porucznik powstał z miejsca.

— Czy wolno zapytać co pani robi z dzisiejszym wieczorem?

Zawahała się przez krótką chwilę.

— Idę z panem Markiem do teatru.

— Ach tak?

Skłonił się. —

— W takim razie pożegnam już. —

Wyciągnęła doń rękę.

— Zobaczymy się zapewne na jutrzejszym balu. — Pan też pójdzie, panie Marku, prawda?

— Ależ naturalnie, — podchwycił żywo.

Złe spojrzenie jak błysk stali zamigotało po za szkłami binokli. Skłonili się sobie w milczeniu. — Lili wyprowadziła gościa do przedpokoju.

Przez krótką chwilę samotności Marek przeżywał swe niesłychane, nieoczekiwane szczęście. Nie pamiętał czy Lili wogóle kiedykolwiek była dlań taką, jak dziś. Wszystko o czem marzył, myśląc o tem spotkaniu, ograniczało się do mniej więcej uprzejmego przyjęcia, uśmiechu, uścisku dłoni — ot prawie obojętnego. Uważał, że byłoby to i tak wiele, gdyż mógłby naprzykład spotkać się z lodowatą obojętnością lub złośliwą uwagą, chociażby na taki temat, jak jego cywilne ubranie. U niej przecież wszystko było możliwe.

Przypomniał sobie nagle, że mają iść do teatru i jeszcze żywsza fala szczęścia przypłynęła mu do serca. Tak, ona sama to powiedziała nawet bez porozumienia się z nim, jakby na mocy jakiegoś tajnego układu, który instynktownie powstał pomiędzy nimi.

Gdy wróciła, zastała go promieniejącego szczęściem.

— Jaka pani dobra, jaka dobra — chwycił jej ręce.

— Cóż ja takiego zrobiłam? —

— To, że chce pani dziś ze mną spędzić wieczór. Przecież ja nawet nie śmiałem o czemś podobnem marzyć.

Mówiąc, okrywał jej dłonie pocałunkami.

— Jaka dobra, jaka dobra.

Śmiała się zadowolona z jego radości.

— No, no niech się pan tak nie egzaltuje. — Jestem jak zawsze egoistką, a że mi się ten Zabielski znudził, więc chciałam się odeń uwolnić.

— A dla mnie nic, nic nie chciała pani przez to zrobić? — pytał natarczywie, potrząsając jej rękoma.

Przekrzywiła zalotnie główkę.

— A może... Może i dla pana też coś. Tylko proszę na tej podstawie nie wyobrażać sobie zaraz Bóg wie czego i.... proszę zostawić trochę moich rąk — na jutro.

Łagodnie uwolniła swe dłonie z jego uścisków i wskazała mu miejsce na kanapie.

— Proszę teraz grzecznie tutaj posiedzieć. Dam panu ciocię do towarzystwa, a sama pójdę się przebrać, jeśli już naprawdę mamy iść do teatru.

Rozpromienionym wzrokiem odprowadził ją do drzwi.

2.

Markowi cały świat teraz wydawał się rozbawiony. Przez oświetlone ulice spieszyli ludzie o twarzach uśmiechniętych, ruchy ich były żywe, głosy dźwięczne, gesty wesołe. Nawet turkot kół po bruku drewnianym rozbrzmiewał jakimś zawadjackim, beztroskim rytmem.

— Spojrzał na Lili, skuloną w rogu oparcia. — Uśmiechnęła się doń.

— Czemu pani nic nie mówi?

— A cóż mam mówić?

— Prawda! To ja powinienem panią bawić. Tylko wie pani, mnie jest tak w tej chwili dobrze, że nawet tego nie umiem powiedzieć, a o czem innem także nie mógłbym mówić.

— W takim razie muszę panu trochę podokuczać, żeby pan znalazł temat, — żartowała.

Marek zaprotestował z udanym przestrachem.

— Nie, nie, niech mi pani teraz nie dokucza, niech pani będzie dziś dobrą dla mnie, tak jak dotąd, tak jak pani czasami dawniej potrafiła...

Zamyślił się nagle. Jakieś wspomnienia przebiegły mu przed oczyma.

— Pamięta pani. — To już tak było dawno ..... pięć lat. Była pani takim podlotkiem....

Przerwała mu ruchem ręki. —

— Tylko niech pan nie bawi się wspomnieniami. — Jeśli mamy być w zgodzie, żyjmy chwilą. Źle panu jest?

Położył rękę na jej drobnej dłoni.

— Dobrze mi jest, Lili, dobrze.

— I jeżeli pan będzie rozsądny, to nam może być dobrze zawsze.

— Zawsze?

Nie usłyszał już odpowiedzi. Dorożka zatrzymała się przed teatrem.

Idąc po schodach, w szatni, na widowni Markowi wydawało się, że im się wszyscy przyglądają, jakby zazdrościli mu jego szczęścia, które go dziś spotkało. Ledwie mógł uwierzyć w rzeczywistość, taka niepodobna była do tego, czego mógł się od niej spodziewać.

Przypominał sobie tak żywo jeszcze swój ostatni odjazd z urlopu przed rokiem. Odjazd tak dziwnie smutny i ponury, bez słowa pożegnania, z bolesnem uczuciem bezna-

dziejnej pustki w sercu. — Obojętne zimne podanie ręki, krótkie zdawkowe „do widzenia“, jakgdyby odchodził na parę dni. — To było wszystko. A on przecie odjeżdżał na front, i to w czasie najgorszym, nie wiedzieć na jak długo i na jaką dolę. — Pamięta tak dobrze, tak żywo jej zimne spojrzenie, gdy się rozstawali wobec tysiąca ludzi na balu.

Poszedł wówczas na ten bal przed samym odjazdem, żeby ją móc jeszcze do ostatniej chwili widzieć. Miał nadzieję, że przecież znajdzie jakąś maleńką chwilę, by jej powiedzieć...

Co jej chciał powiedzieć? — Wiedziała o tem tak dobrze i wiedzieć nie chciała. I widzieć nie chciała, co on przeżywa i jak cierpi. I wiedzieć i widzieć nie chciała. — Bawiła się tak dobrze. —

— Gdy czas był już najwyższy do odjazdu, pochwycił ją w przejściu za rękę.

— Ja już odjeżdżam ... chciałem pożegnać.

Przystanęła roztargniona. Za nią ktoś obcy. — Jej tancerz.

— Tak? To szkoda. Myślałam, że pan nas odprowadzi do domu. — Do widzenia. —

Podała mu rękę szybko, konwencjonalnie, jakby się chciała czemprędzej odeń uwolnić. — Nawet się nie uśmiechnęła, nawet jednego cieplejszego słowa nie powiedziała. W tej samej chwili ktoś podbiegł i porwał ją do tańca.

Jeszcze ją raz zobaczył przez krótki moment w luce pomiędzy filarami, opartą o czyjeś ramie, roześmianą, rozbawioną. — Uniosła ją fala tańczących.

Odjechał wioząc ze sobą ten ostatni denerwujący jej obraz. — Odjechał prosto na kolej i ledwie zdążył.

Miesiącami całemi męczyło go widmo tego rozstania, tego balu, tych roztańczonych par.

Wrócił teraz, a po drodze walczył ze sobą. Czy starać się z nią spotkać, czy nie? Czy przekreślić ją w sobie, czy zdobywać ją ponownie? — Przekreślić? Zdobywać? — Przekreślić nie potrafił.

Z tych rozmyślań wyrwał go nagle głos Lili.

— Uprzejmie się pan zachowuje. — Nad czemże się pan tak zamyślił?

— Ach, nic, głupstwo.

— Więc proszę przy mnie o głupstwach nie myśleć. Proszę mnie bawić.

Na szczęście rozpoczęła się uwertura, która wybawiła go od obowiązku bawienia na rozkaz.

Nie uważał nawet co się dzieje na scenie. Przedewszystkiem pochłaniała go jej obecność. — A ona siedziała cicha, zasłuchana w łagodne, pieszczotliwe tony „Madame Butterfly“, jakby nie ona, jakby jakaś inna istota, której dotąd nie znał. —

Znikła gdzieś jej zwykła zadzierżystość, roztargnienie, denerwująca czasem ruchliwość, a zjawiło się coś jakby lekkie zmęczenie, czy też melancholja.

A może to?.... Marek zadrżał na samą myśl niedokończoną. Bo gdyby ...... Hej! Boże, czy umiałby znieść szczęście tak nieoczekiwane...

Ona zaś istotnie zdawała się być dziś wypełniona pogodą, jak lipcowy dzień słońcem. Podczas antraktu poszli razem do foyer i Marek opowiadał jej przeżycia ostatnich miesięcy.

Nie mówił jej nic o swej tęsknocie, o tem, jak śnił o niej w czasie krótkich, kradzionych postojów, jak marzył o jej listach, które nigdy rąk jego nie dochodziły — nienapisane. Pomijał to milczeniem, odsuwał od siebie słowa, które się same do ust tłoczyły, opowiadał natomiast o dniach ciężkich walk, o bezustannych utarczkach, o odwrotach, o pościgach.

— A nie zakochał się pan w jakiej bolszewiczce? — zapytała nagle ze śmiechem.

— Niestety nie spotkałem wartej tego — odpowiedział tym samym tonem.

— To lepiej.

Serce zabiło mu mocniej.

— Dlaczego lepiej?

— Bo jako zakochany jest pan całkiem niezabawny. Wiem to z doświadczenia.

Spojrzał na nią z wyrzutem, a ona w tej chwili pożałowała swych słów okrutnych.

— No, cicho, nie gniewać się. Już nie będę..... Przepraszam. —

To „przepraszam“ zabrzmiało w jej ustach dźwiękiem dotąd nieznanym, łagodnym i miękkim. — Marek w jednej chwili zapomniał o ironicznym przycinku. Gotów był nawet sam ją przepraszać za wszystko, byleby była zawsze taka, jak dziś.

Akt trzeci jakby jeszcze bardziej nastroił ich lirycznie. W niezamąconej harmonji wyszli z teatru.

— Pójdziemy na kolację? — spytał nieśmiało.

Zawahała się.

— E nie. — Muszę się wyspać przed jutrzejszym balem.

Marek posmutniał.

— Pozatem — to nie wypada — dodała.

— Co? Pani to mówi?

— Cóż w tem dziwnego?

— Zawsze dawniej mówiła pani — „gwiżdżę.“

— A pan się gorszył. — Powinien się pan teraz cieszyć z poprawy.

— To też się cieszę.

— Nie widać tego po panu.

Siedli do dorożki.

— Pójdzie pan z nami na bal jutro?

— Przecież to postanowione.

— Prawda. A ma pan frak?

— Frak? O do licha!

— Aha, widzi pan. Zaczynają się niedole cywila.

— To pójdę w mundurze.

Skrzywiła się.

— Oj, jak ja mam już dość tych mundurów.

Marek nic nie odpowiedział. Jechali czas jakiś w milczeniu.

Nagle Lili poruszyła się żywo na siedzeniu.

— Wie pan — głodna jestem.

— Więc?....

Obojgu zaświeciły się w oczach iskierki humoru.

— Jedziemy na kolację. — zdecydowała.

Marek chciał jej się rzucić do rąk, ale go powstrzymała.

— Panie, ulica!

— Gwiżdżę! — wyraz z pani słownika.

— Tak, ale ja nie gwiżdżę. Do Brühla! — rzuciła dorożkarzowi.

3.

Marek siedząc na łóżku obliczał swoją kasę. Minę miał trochę skwaszoną. — Jeżeli kupi frak, to mu zostanie bardzo niewiele, a od ojca czerpać wciąż nie można, niema zresztą z czego. Kupić więc, czy nie kupić? Ubierając się rozmyślał nad tem doniosłem zagadnieniem.

Lili powiedziała, że ma już dość mundurów i prosiła go na bal i ...... i wyraźnie pytała, czy ma frak. — Z drugiej strony: jeżeli kupi frak, to...

— E, do djabła. — Czy taki wieczór, jak wczorajszy nie jest wart tego, żeby nie przywiązywać wagi do takich drobiazgów, jak pieniądze!?

Zdecydowany, spiesznie zbiegł ze schodów. Klucz rzucił portjerowi w przelocie i pierwszej dorożce kazał się wieźć do Stefaniaka.

Interes był ubity w pięć minut. Frak wypadkowo jest gotowy, prawie jak na Marka. — Jeden „stały klijent“ jeszcze nie wykupił, zresztą mieszka na wsi i zanim wróci, zrobi mu się nowy. Wprawdzie będzie to trochę drożej kosztować, ale w takich okolicznościach ...... dla „stałego klijenta“. Maleńkie poprawki są, ale do szóstej wieczorem wszystko będzie załatwione.

Zapłacił z góry i zadowolony ze szczęśliwego zbiegu okoliczności wybiegł na ulicę. — Była godzina $11^1/_2$. Najwyższy czas zjeść śniadanie. Żwawym krokiem pobiegł do Loursa na paszteciki.

Cukiernia roiła się od ludzi. Wszędzie znajome twarze. — Moc kolegów. Przysiadł się do stolika kilku wojskowych. Powitali go hucznie.

— Marek, cywil! Jak się czujesz w nowej skórze?

— Źle — wieje!

— Co wieje?

— Wszędzie wieje. Za luźno.

Zajadał paszteciki, opowiadając żywo o swych wrażeniach cywilnych, z przyzwyczajenia co chwila powstając wraz z wojskowymi na powitanie szarż, ku uciesze całego towarzystwa.

— O, drugi cywil, patrzcie! — zawoał ktoś przy stoliku.

W tej chwili w drzwiach ukazał się rotmistrz Borsuk w pięknem, czarnem palcie z futrzanym kołnierzem i..... w „meloniku“. Powitali go salwą śmiechu. Przysiadł się do stołu zakłopotany, powiększając gwar jeszcze bardziej. W cywilnem ubraniu ruszał się niezręcznie. Widać to było od pierwszego rzutu oka

— A jakże ty się czujesz w cywilnej skórze?

Rotmistrz skrzywił się komicznie.

— Boli mnie.

— No?

— Zapłaciłem tysiąc marek za koszulę frakową. —

Marek, który właśnie miał zamiar włożyć do ust trzeciego pasztecika, zamarł na chwilę.

— A za lakierki trzy tysiące — dokończył Borsuk.

Marek obtarł usta i odsunął szklankę z nagłą niechęcią. Nie przyszło mu dotąd na myśl, że do fraka trzeba mieć jeszcze szereg innych rzeczy niezbędnych.

— Niech cię djabli! — zaklął z irytacją.

— Co ci się stało?

— Kupiłem sobie frak! — wytłomaczył krótko.

Całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

— No to brnij, bracie, dalej.

Stracił humor. Nie bawiło go już to towarzystwo.

Zapłacił i z rezygnacją poszedł załatwiać owe niezbędne sprawunki. Lakierki, koszula, pończochy, spinki, krawat, rękawiczki. Jezus Marja! Z przerażeniem spoglądał na topniejący zapas gotówki w portfelu.

— Ładna historja, ładna historja! — powtarzał z goryczą. — Dobrze zaczynam.

Obładowany paczkami zjawił się w hotelu.

— Jakiś pan pytał o jaśnie pana — informował go portjer.

— Kto?

— Nie wymienił nazwiska.

Ociężale powlókł się na górę. Kto się mógł pytać o niego? — Mniejsza o to! Rzucił sprawunki na stół i ze zwieszoną głową usiadł w fotelu. —

Finanse przedstawiały się bardzo mizernie. Nawet nie miał odwagi zaglądnąć do portfelu.

Marek jednakże nie należał do ludzi, którzy zbyt długo zaprzątają sobie głowę kłopotami finansowemi. Jakoś to będzie.

A przytem. — Co to wszystko znaczy wobec tego, że Lili ..... Cóż Lili? No co? — zirytował się nagle na siebie. —

Bóg ją raczy wiedzieć, co ona myśli i co znaczy ta w niej zmiana. — Zabroniła mu „tymczasem“ mówić o tem. Chociaż... „Tymczasem“ — to bardzo znamienne. —

Na tem wyrażeniu, w sekrecie przed samym sobą, budował nieokreślone plany.

Ktoś zastukał do drzwi.

— Wejść! — warknął po wojskowemu, niezadowolony, że mu przerywają rozmyślania.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich wysokiego wzrostu ciemny blondyn, o wyrazistej twarzy.

Marek ooczom własnym nie wierzył.

— Roman! — krzyknął radośnie.

Rzucili się sobie w objęcia.

— Ty skąd?

— Z Poznania.

— Hę? W cywilu?

— Od miesiąca.

— A ja od wczoraj.

— Mówił mi już Zabielski.

— Zabielski? Nie znam.

— Znasz od wczoraj. Spotkaliście się u Lili.

Marek się zmieszał.

— A ty po staremu. — Najprzód Lili. — zauważył Roman.

— Cóż zrobić. I ty także przeciw niej?

Roman objął go ramieniem.

— No, no nie martw się stary. Jeśli między wami już dobrze, to dobrze. Ja nie jestem ani za, ani przeciw, tylko z tobą.

Usiedli. — Opowiedzieli sobie pokrótce ostatnie swoje zdarzenia, a gdy się ten temat wyczerpał, Roman wreszcie zapytał.

— Jakież masz teraz plany?

— Plany? — Marek się roześmiał. — Nie myślałem jeszcze. A ty?

— Rozumiem. Ja? — Już pracuję na nowo. Od miesiąca jestem zwolniony, a od czterech tygodni wstąpiłem do spółki drzewnej w Poznainu. Dobry interes.

— A skąd wziąłeś pieniądze?

Roman uderzył się dłońmi po kolanach i roześmiał rubasznie.

— Ha, ha, — Pieniądze. Ostatnia gaża, plus to, co mi ojciec przysłał na cywilny ekwipunek, plus dwa tygodnie głodówki. Razem okrągła sumka. Po dwuch tygodniach był już wpływ — i znaczny.

Marek się zasępił.

— Co ci jest?

— Nic, tylko porównałem twoje pierwsze kroki z mojemi.

— Cóżeś tam zmalował?

Machnął ręką niechętnie.

— Rozumiem. Zarżnąłeś się w jakiś sposób. — Na to, to ty jesteś specjalista.

Marek rozłożył ręce bezradnie.

— Stało się.

— Aha. Ale co się stało? Gadaj. Przecie ja nie jestem stara ciotka, żeby się byle czem gorszyć.

— Idę dziś na bal z Lili. — zaczął nieśmiało.

Roman sekundę się zastanowił.

— Rozumiem. Kupiłeś sobie frak itd.

Marek zdumiał się przenikliwością brata.

— Wiesz, że ty jesteś genjusz!

— Ty także, tylko w innym rodzaju — to rodzinne. Krótko mówiąc, nie masz już nic?

— Tak źle nie jest.

— Ale jest blisko tego.

— Dosyć...

— No to masz szczęście w każdym razie, że ja przyjechałem.

Wyciągnął portfel wyładowany tysiącznemi banknotami.

— Wiwat drzewo! Prawdziwe polskie drzewo!

— Paskarz — roześmiał się Marek.

— To się tak nazywa. Różnice polegają tylko na tem, jak i po co się coś robi. Tymczasem pogódź się z faktem, że pieniądze są i że nawet mogę pójść z tobą na bal, a jutro pojedziemy do domu i wtedy ci opowiem o interesach, w które i ciebie chcę wciągnąć. Mam ledwie cztery dni czasu, a w domu nie byłem już od roku. I ty także.

Marek nic nie odpowiedział.

Roman pożegnał się i pobiegł na miasto załatwiać interesa swojej „spółki". Umówili się wieczorem na obiad, skąd wspólnie mieli pojechać po Lili i na bal.

4.

Lili po kąpieli odpoczywała na kanapie, owinięta w prześcieradła i ciepły miękki pled.

W pokoju panował krwawy półmrok, światło jedynej lampy elektrycznej sączyło się pracowicie poprzez gruby, jedwabny abażur, koloru maków polnych. Pan Maciej Łunicki wielkiemi krokami chodził po miękkim dywanie puszczając gęste kłęby dymu z papierosa. Milczeli oboje.

Lili leniwie wodziła oczyma za potężną postacią ojca i bezmyślnie śledziła mętne, fantastyczne desenie dymu, układające się poziomo w gorącej atmosferze pokoju.

— Co on ma zamiar robić teraz, ten Marek? — odezwał się pierwszy Łunicki.

— Nie wiem. Idziemy dziś na bal.

Pan Maciej wzruszył ramionami.

— Wiecznie te bale. I w dodatku sama z młodymi ludźmi.

— To czemuż papa ze mną nie pójdzie?

— Ja? — Ale ciotka by mogła z tobą pójść.

— Ciotkę to męczy. Zresztą to jest dziś zupełnie przyjęte.

— Jak gdzie.

— Trudno, jak papa nigdzie nie bywa, to ja sobie muszę sama radę dawać.

Po chwili milczenia Łunicki podjął przerwaną myśl:

— I on się ciągle tak w tobie kocha?

— Kto?

— No, ten Marek!

— Nie wiem, możliwe.

Łunicki rozpoczął na nowo swą wędrówkę.

— A Roman?

— Nie wiem.

— No, ten to dopiero jest warjat. — Lotnik! Phi!

Lili niechętnie odwróciła się twarzą do ściany.

Stary pan zatrzymał się chwilę koło kanapy, jakby namyślając nad czemś.

— Do widzenia, — odezwał się wreszcie, pochylając nad córką. — Pewno się nie zobaczymy, bo ja o północy wyjeżdżam.

Dźwignęła się na łokciu nadstawiając policzek do pocałowania.

— Może mi papa zostawi trochę pieniędzy.

— Co takiego? — odskoczył oburzony. — Dopiero ci dałem wczoraj! Co ty z pieniędzmi robisz?

— Zapłaciłam krawcowej.

— Bój się Boga, bój się Boga! — załamał ręce.

— To niech papa nie zostawia — odwróciła się znów do ściany.

Łunicki mrucząc do siebie z wielkiem oburzeniem wyciągnął portfel. — Ile?

— Nie trzeba.

Z otwartym portfelem stał zakłopotany. Zbliżył się wreszcie już z wypogodzoną twarzą.

— No, Lili, — ukląkł na kanapie — nie gniewaj się Ile ci potrzeba? Dziesięć wystarczy?

— Nie chcę.

Stary pan, klęcząc na kanapie, z komicznie zafrasowaną miną usiłował zajrzeć jej w oczy. Ona jednak, odwrócona doń tyłem, nie zwracała uwagi na te manewry.

— Lili, no Lili, czego się złościsz? — gładził ją ręką po włosach. — Piętnaście dosyć?

Milczenie.

— Czego ty się znęczasz nade mną? — zirytował się nagle. — Nie chcesz to nie!

Milczenie.

— Piętnaście?

— Mało.

Odetchnął z ulgą.

— Wreszcie przemówiła! — Masz tu dwadzieścia.

Pochylił się nad nią i pocałował w głowę.

— Do widzenia.

Przy drzwiach zatrzymał się.

— A nie siedź długo. Depeszuj po konie.

Drzwi się za nim zamknęły, gdy Lili od ust ręką przesłała mu całusa.

— Maciuś! Maciuś!

Uchyli drzwi.

— Co się stało?

— Nie przegraj za wiele — prosiła z komicznie błagalną minką.

— Głupstwa gadasz, przecie mówiłem, że jadę do domu o....

— ...ósmej rano — dokończyła.

—Sroka! — trzasnął drzwiami i wyszedł.

— Uratowałam Ci dwadzieścia tysięcy, pamiętaj o procencie! — wołała jeszcze za odchodzącym.

Została sama. Ogarnęła ją znów apatja. W całem ciele czuła, coraz bardziej rozlewające się, leniwe osłabienie. Prawie, że z niechęcią myślała o czekającym ją balu. I nie tyle o balu, ile o przygotowaniach. — Trzeba wstać, uczesać się, ubrać. Boże tyle pracy! O ileż szczęśliwsi są mężczyźni. Taki Marek, napewno nie myśli nawet jeszcze o balu.

Marek. — Dziwny chłopiec. Kocha się w nej już..... Ileż to lat? — Rok, dwa, trzy,... szósty rok.

Była wtedy prawie dzieckiem, kiedy go poznała. A on był już dorosły, był na uniwersytecie. Miłość dorosłego człowieka. To jej zaimponowało. Ach, poco on się w niej tak głupio kochał? Tak zawsze tylko w nią patrzył jak w obraz, zawsze tylko czekał na jej kaprysy. Nigdy żadnego sprzeciwu, nigdy żadnego protestu. — Czasem jakiś wybuch złego humoru, który potrafiła zawsze złamać terorem. Szkoda.

Dobry chłopiec. Szkoda. I tak ją kocha....

Przypomniała jej się teraz cała zgraja jej adoratorów, tych wszystkich poruczników ze srebrnemi akselbantami, tych danserów zawołanych, bawidamków. — I między nimi także niema nikogo, ktoby się próbował opierać. Wszyscy czekają skinienia, jak tresowane pieski. Rządzi nimi jak chce. — Zgraja.

Niechętnie podniosła się z kanapy i wyplątała z krępujących ją prześcieradeł. Stanęła naga przed lustrem. Uśmiechnęła się do siebie, zadowolona, prężąc, równe, wąskie ramiona.

Zadzwoniła na służącą.

Rozpoczęła się teraz uroczystość ubierania. Długa, zmudna uroczystość czesania, ostrożnego kładzenia pajęczynowych pończoszek, poprawianie fałdek...

O dziewiątej rozległ się pierwszy dzwonek w przedpokoju. Franka poszła otworzyć.

— Kto przyszedł?

— Pan Marek i pan Roman. —

— Pan Roman?

— Tak.

Zerwała się z miejsca porzucając na chwilę tualetę.

— Daj mi szlafrok.

Narzuciła na siebie obszerny, fałdzisty zawój z miękkiego jedwabiu i pobiegła ku drzwiom wiodącym do salonu. Wyjrzała przez szparę.

— Co słyszę, pan Roman przyjechał?

Roman bezczelnie zajrzał w szczelinę.

— Do usług królowej, dobrodziejki. We własnej osobie.

Uderzyła go ręką po głowie.

— Pańska bezczelność, widzę, nie uległa żadnej katastrofie.

— Złego djabli nie biorą, jako że w zmowie z kobietami.

— Franiu, daj mi szpicrutę.

— Królowo, idę na układy, tylko bez szpicruty. — Proszę o łapkę do pocałowania. —

Chwycił w przegubie wyciągniętą rękę i całował z udaną żarłocznością.

— Dosyć już, dosyć — broniła się.

— Zaraz, chwileczkę, jest tu jeszcze jeden głodomór. Niech sobie także użyje.

— Pan już moją ręką handluje!

— Nie, na to mam za szczupłe kapitały.

Marek gorąco przylgnął ustami do podanej dłoni.

— Skąd pan się wziął?

— Dla odmiany z ziemi wpadłem do nieba, albowiem gdzie jest bogini, tam musi być niebo.

— Fi! Co za styl! Panie, to było dobre w osiemnastym wieku.

— Z wrażenia straciłem poczucie przynależności do epoki.

Lili cofnęła się z uchylonych drzwi.

— To bardzo ładnie z pańskiej strony, że pan idzie z nami na bal, ale bawcie się tymczasem sami. Ja najdalej za pół godziny będę gotowa. Gdyby kto przyszedł róbcie honory domu.

— A ciocia?

— Ciocia źle się czuje, nie wychodzi ze swego pokoju.

Zniknęła za drzwiami. Marek i Roman zostali sami.

— Za chwilę zjawi się tu napewne Zabielski — zauważył Roman, sprawdziwszy godzinę.

— On? A on tu po co?

— Skąd ja mogę wiedzieć? Mówił mi io rano.

Marek się zachmurzył.

— Nie podoba mi się ta lala.

— I mnie także, ale to nie jest powód do utraty humoru — możesz nie zwracać na niego uwagi.

— Bah!

— Czy go uważasz za rywala?

Marek skrzywił się z niesmakiem.

— Jeżeli miałaby mi dać takiego rywali, to....

— To co?

— To ja się usuwam z góry.

Roman przyjrzał mu się uważnie przez chwilę.

— Trzymam cię za słowo — powiedział niespodzianie głosem zupełnie poważnym. — A teraz się rozchmurz, bo to nie jest sposób kokieterji i nie okazuj zazdrości, bo to najlepsza metoda do zniechęcenia tego rodzaju kobiety, jak Lili.

Marek jednakże nie odrazu zdołał pozbyć się marsa, który osiadł na jego czole. — Zabielskiego powitał z widocznym chłodem i dopiero przy wyjściu odzyskał humor, gdy Lili jego ramię wybrała, idąc do powozu.

Roman uśmiechał się, obserwując brata. Nie należał do natur romantycznych, to też tej dziwnie drobiazgowej, wrażliwej na najdrobniejsze szczegóły miłości nie umiał pojąć. Bawił tymczasem rozmową Zabielskiego, idąc z nim w drugą parę, zadowolony z postępowania Lili, która tem drobnem wyróżnieniem Marka, uratowała nastrój może całego wieczoru.

Zabielski natomiast pod powłoką doskonałego tonu, kipiał wewnętrznie. Roman, który go nie lubił, obserwował z satysfakcją złe błyski jego maleńkich, szarych oczu. Lili zaś jakby naumyślnie kokietowała wyłącznie Marka.

— Jak to ślicznie, że pan już całkiem zerwał z mundurem. Nigdy dotąd nie widziałam pana we fraku, a wygląda pan doskonale.

— Ten frak spowodował dziś rewolucję w zawodzie krawieckim — wtrącił Roman.

— A to jakim sposobem?

— Bo Marek zmobilizował przez Stefaniaka wszystkich krawców z całej Warszawy, byle zdążyli uszyć to arcydzieło na wieczór.

— Rzeczywiście jeszcze czuć pana krawcem — zauważył złośliwie Zabielski.

— Pan ma bardzo subtelny nosek, poruczniku — odparował Roman przytykiem do słabej strony urody Zabielskiego.

Lili natomiast nagrodziła zabiegliwość Markową jednem z najpiękniejszych spojrzeń.

Dojechali tymczasem do Resursy.

Bal był już w całej pełni. Marek jak triumfator wprowadził Lili na salę. Po prawej jej ręce kroczył Roman. Zabielski czuł się zdystansowany i zakłopotany swą rolą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Drukarnia Spółki Zjednoczenia Młodzieży.